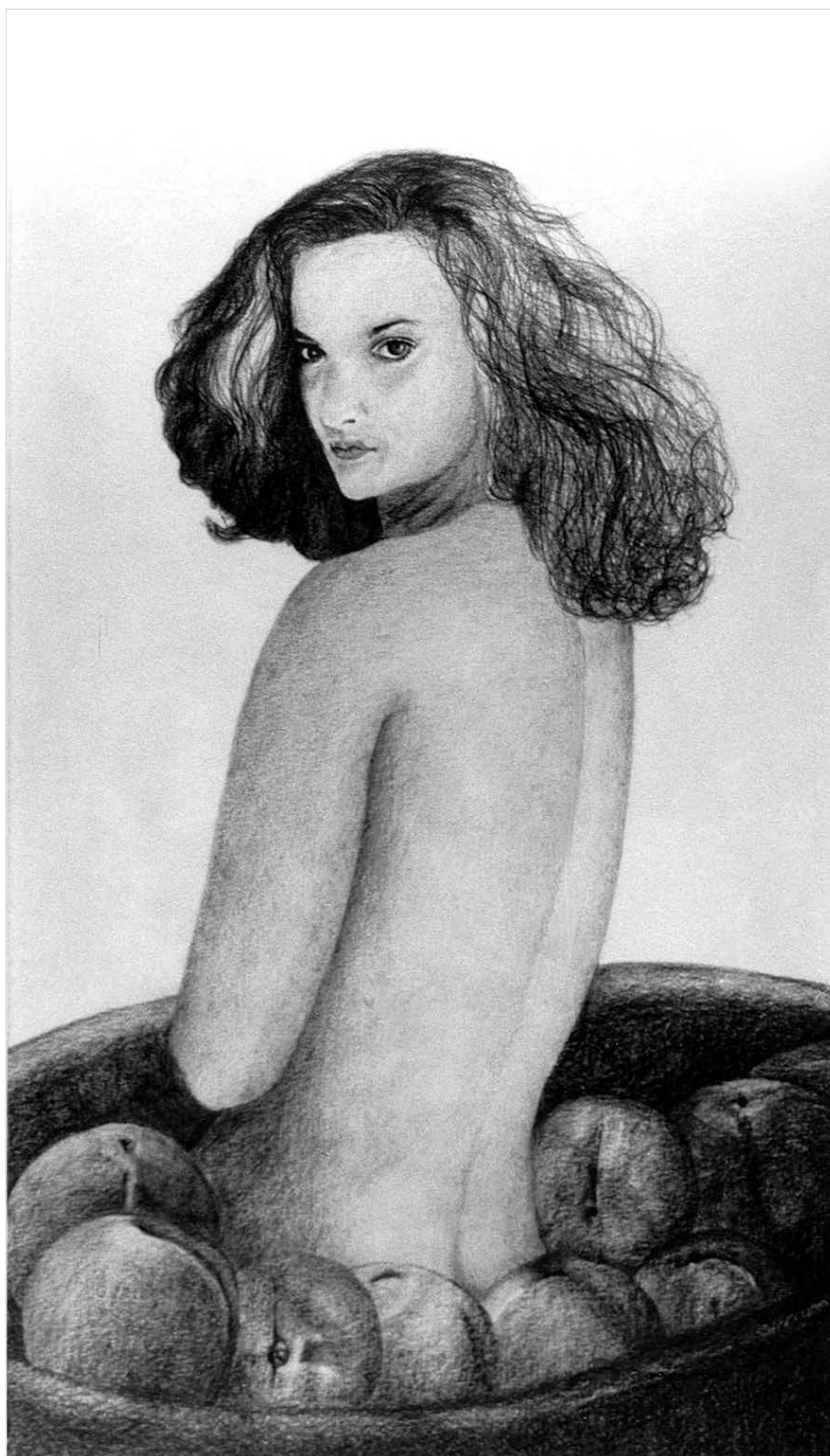


MIESIĘCZNIK LITERACKI

AKANT

ISSN-1429-9054 PKWiU 22.13.10-00.22 PCN 4902 Nr Rej. 295 Nr Indeksu 344141 NR 1 (339) Rok XXVII STYCZEŃ 2024 cena 8 zł (w tym 8%VAT)

✉ e-mail: akant24@wp.pl, www.akant.org



Stefan Rusin, Jej portret

Kiedy...

dokończenie ze str. 25

miałem wrażenie, że obcuje z mogiłą. Któregoś wieczoru po prostu powiedziałem jej, że musimy z tym skończyć. Że nie musimy więcej tego robić, jeżeli wcale nie chce.

– W porządku – powiedziała z dziwną lekkością w głosie. – Robiłam to tylko dlatego, bo myślałam, że jestem ci to winna.

Po raz ostatni widziałem ją w listopadzie, na dwa dni spadł śnieg, całe miasto pokryła biała wata. Znów wróciła do miasta, ale nie na długo.

– Ja się tutaj duszę – rzuciła, wparowując bez wcześniejszego uprzedzenia do mojego mieszkania. – Duszę się w tej małej postkomunistycznej dziurze.

– To wyjedź.

– Chyba tak zrobię. Wyjadę stąd na zawsze. Nic mnie tutaj nie trzyma.

– Zawsze wyjeżdżasz i zawsze wracasz.

– No właśnie. To chore. Świat jest taki wielki, taki inny, wspaniały, nawet sobie nie wyobrażasz jak wspaniały może być świat tam daleko. A i tak zawsze tutaj wracam. Do początku. To naprawdę chore. Jestem nieuleczalnie chora.

Wyszliśmy na zewnątrz i odbyliśmy długi spacer, chyba najdłuższy na jakim w życiu byłem. Prawie nie rozmawialiśmy, Weronika wydawała się być zamyślona, nieobecna. Zaczęło w końcu padać, ale lecący z nieba śnieg wcale jej nie przeszkadzał. Potem wróciliśmy, zmęczeni i zmarznięci, mokrzy jak bezpieczeństwa pszy, głodni ciepła. Znaleźliśmy je, i jakoś tak wyszło, że po raz ostatni poszliśmy do łóżka.

Wcześniej, zanim to się stało, pierwszy raz widziałem jak bierze. Robiła to w łazience, chyba chcąc się przede mną ukryć. To była kokaina, chyba kokaina. Nie byłem ekspertem.

– Nie patrz tak na mnie – zaskomlała jak ranne zwierzę.

– Nie patrzę.

– To nic takiego, wiesz?

– Dobrze.

– To naprawdę nic takiego. Po prostu to mi pomaga. Tak jak ty. Ty też mi pomagasz, wiesz? Potrzebuję ciebie. Ale tego też potrzebuję.

Później chwyciła mnie za rękę i zaprowadziła do sypialni. Kiedy to robiliśmy patrzyła na mnie, patrzyła we mnie, głęboko w moje oczy, jakby chciała przejrzeć całą duszę na wylot. Czułem jakbym patrzył prosto w żółtą twarz słońca. Miała otwarte oczy kiedy się całowaliśmy. Wyszła nad ranem i nie rozmawiałem z nią już nigdy więcej. Miała wyjechać, ale nie sądzę, żeby to zrobiła. Odwiedziłem jej mieszkanie kilka dni później. Dzwoniłem i pukałem. Słyszałem, że ktoś jest w środku.

– Weronika, to ja! Otwórz!

Nie otworzyła mi, ale miałem wrażenie, że stoi po drugiej stronie, przy samych drzwiach.

O jej pogrzebie poinformowała mnie jej kuzynka z Kanady. Ona nie przyjechała na pogrzeb. Niewiele osób zresztą przyszło. Nie dociekałem co było przyczyną śmierci, zresztą chyba nikt nie znał prawdy. Pochowali ją tuż przy mężu. Na zdjęciu, które umieścili na nagrobku, jej magiczne oczy wydawały się zwyczajne. Może po prostu martwe. Było też epitafium, oczywiście, że było, wygrawerowane piękną czcionką w kolorze złota.

Jakie?

Nie będę się powtarzał. Przecież wiecie jak szło. ❖

Tomasz Witkowski

Nitka życia (1)

Najtrudniej jej było znaleźć miejsce, gdzie mogłaby spędzić w samotności choćby kilkanaście godzin. Wszystkie kolorowe magazyny bez przerwy pisały o epidemii samotności, o tym, że jest co najmniej tak szkodliwa jak wypalanie paczki papierosów dziennie. Podobno nawet jakaś minister z Wielkiej Brytanii oficjalnie wypowiedziała samotności wojnę. Lecz kiedy Marta próbowała znaleźć w swoim mieście miejsce, w którym mogłaby pozostawać naprawdę samotna, nie niepokojona przez nikogo, okazało się, że graniczy to z niemożliwością. Z pewnością nie było to jej mieszkanie mieszczące się w tym samym bloku, co mieszkanie jej córki Doroty. Odwiedzała ją kilka razy w tygodniu, najczęściej niezapowiedziana, podobnie wnuczki. Najmłodsza Cecylia, która jeszcze mieszkała z matką zaglądała nawet kilka razy dziennie, aby zapytać czy w czymś nie trzeba pomóc, czy nie zrobić zakupów. Do tego telefon. Nieodebrany natychmiast spowodowałby interwencję w mieszkaniu. Wyjazd za miasto też nie wchodził w grę. Nie miała swojego samochodu, a bała się, że samotna starsza kobieta wędrująca gdzieś do lasu, zwróci natychmiast czyjąś uwagę.

Dlatego pierwsze, co przyszło jej do głowy, to kościół. Lubiła w nim posiedzieć. Nie, żeby była dewotką. Nie odmawiała zdrowasiek i rzadko brała udział w mszy. Modliła się jakoś tak po swojemu, ale częściej chodziła tam, żeby pomyśleć, odpocząć. Grube kościelne mury wyciszały zgiełk miasta, swoim odwiecznym trwaniem spowalniały czas. Latem oferowały chłód, a zimą zacisze. Kolorowe witraże łagodziły zbyt ostre światło dnia, a płomienie świec strzegły przed napierającym mrokiem nocy. To było dobre miejsce do myślenia i poza porami mszy oferowało samotność. Ale kiedy Marta poszła do kościoła żeby sprawdzić, czy można tam pozostać samotną przez kilka choćby godzin, okazało się, że jest to miejsce niemal ciągle kontrolowane. W jednym z kilku zamkniętych konfesjonatów często siedział spowiednik, którego uwadze z pewnością nie uchodziło to, co się dzieje przed jego oczami. Z dość dużą regularnością przez świątynię przechodził kościelny – a to, żeby wymienić gdzieś świece, a to żeby coś poprawić przy bocznym ołtarzu. No i kościoły zamykano na noc. Poczucie samotności było wyłącznie rezultatem dyskrecji charakterystycznej dla prowadzonej tam ciągłej kontroli

Bardzo szybko przekonała się też, że miejskie parki, jeśli tylko nie siedzi się z nosem w zajmującej książce i nie zwraca uwagi na otoczenie, pełne są czujnych spojrzeń, a nawet zagrożeń. Szczególnie złudna okazywała się pora nocna. Parki zapełniały się wówczas swoimi tymczasowymi mieszkańcami, którzy potrafili zniknąć w zaroślach niczym cienie. Nawet kontrolujące alejki patrolowały straży miejskiej nie zdawały sobie sprawy z różnorodności form życia wypełniających pozornie opustoszały teren. Albo nie chciały jej dostrzegać, aby nie zakłócać sobie kolejnych godzin spokojnej służby. Nie, parki, nawet te położone w peryferyjnych dzielnicach, nie oferowały jakiegokolwiek samotności.

Któregoś ranka po obudzeniu, kiedy jeszcze było całkiem ciemno, nagle przyszła jej do głowy myśl, która wydała jej się genialna – ogródki działkowe! Po śniadaniu rozłożyła

na stole plan miasta, żeby zaplanować kolejną wyprawę. Zanotowała numery autobusów, które miały ją zawieźć do największych kompleksów ogródków działkowych. Spakowała plan i notatnik do podręcznego plecaczka, chwyciła w rękę aluminiową teleskopową laskę i wyruszyła w miasto. Nie miała dość sił na to, by odwiedzić więcej niż dwa takie kompleksy w ciągu dnia, ale już po wizycie w pierwszym z nich pozbyła się złudzeń. Ogródki działkowe okazały się czymś w rodzaju wsi w mieście. Pomimo jesiennej pory, a może właśnie ze względu na nią, nawet w powszedni dzień przed południem tętniły życiem. Ona sama nigdy nie miała własnego ogródka, nie miała też znajomych, którzy spędzali w taki sposób czas. Szybko przekonała się, że niektóre działki z wypieszczonymi altanami przypominającymi miniaturowe domy jednorodzinne są podstawowym miejscem, w którym żyją ich właściciele. Z pasją trzebią wszelkie chwasty, z czułością zbierają owoce swojej pracy, ale w całym tym zapamiętaniu przerywają zajęcia natychmiast, kiedy ich oko złowi sylwetkę intruza, obcego jak ona, przemierzającego którąś z wytyczonych od sznurka alejek. Nie, to z pewnością też nie był dobry pomysł.

Jeszcze w autobusie, który posapując i zgrzytając swoją nadwyższą maszyną wioził ją do domu, skarciwszy się za swoją naiwność, wpadła na inny pomysł. Pamiętała mgliście protesty działkowców sprzed lat, którzy nie chcieli pozwolić na budowę obwodnicy na terenie swoich ukochanych ogródków. Kiedy jednak wreszcie zostali pokonani, ich działki długo jeszcze pozostawały bez żadnego nadzoru i opieki zarastając krzakami i krzewami, wabiąc do siebie ptactwo i zdziczałe koty, nim wreszcie wjechały na nie buldożery i zaczęły gruntownie zmieniać ich oblicze. Może i dzisiaj, gdzieś w mieście są takie tereny zapomniane przez ludzi? Tylko jak je znaleźć?

Rozwiązanie okazało się dość oczywiste i leżące w zasięgu ręki. Poprosiła o pomoc Cecylię – swoją najmłodszą wnuczkę, a ta bez problemu znalazła niezbędne informacje w Internecie, którego Marta nie potrafiła obsługiwać. Były rzeczywiście dwa takie kompleksy w mieście, z których wysiedlono dzierżawców. Jeden z nich miało pożreć rozrastające się w niekontrolowany sposób, niczym tkanki raka, nowe osiedle mieszkaniowe, drugi przeznaczony był na rozbudowę kolejnej w mieście świątyni konsumpcji. Zdobywszy szczegółowe informacje, podobnie jak przed tygodniem, Marta spakowała swój niewielki plecaczek, chwyciła laskę i ruszyła na rekonesans.

W okolicy opuszczonych działek dotarła bez przeszkód, ale już po przekroczeniu niewidzialnej granicy tego państwa wyrósł przed nią jego samozwańczy strażnik, który samą tylko wydzielaną przezeń wonią byłby w stanie zniechęcić ją do zapuszczenia się w głąb. Niezrażona próbowała go wyminąć, lecz kiedy wychrypiał jakieś niezrozumiałe dla niej ostrzeżenie, z okolicznych krzaków wyłoniły się ogorzałe pomarszczone twarze, które wydawały z siebie gardłowe jęki. W ich potoku od czasu do czasu wybrzmiewało tylko jedno zrozumiałe dla niej słowo – „kurwa”. Błyskawicznie pojęła, że o ile użytkowane ogródki przypominały dawną

osadę rolniczą, to teren porzuconych działek był przedmiotem kontroli i wpływów barbarzyńskich nomadów gotowych stawać do walki w obronie swojego terytorium z każdym, kto osmieliłby się naruszyć jego święte granice. Jakże mylnie było wrażenie dzikości i opuszczenia, które można było odnieść patrząc na te tereny z okien autobusu! Jej odwrotowi towarzyszył tłumiony rechot i pokrzykiwania autochtonów.

W końcu zdecydowała się na kompromis. Na nadrzecznych wałach wytyczono wielokilometrowe alejki, z których korzystali spacerowicze, rowerzyści, ludzie uprawiający jogging. Rosły na nich tylko drzewa, prawie nie było krzewów. Co kilkadziesiąt metrów przy brzegu rzeki stała ławka, na której od czasu do czasu jakieś maolaty odziane niezmiennie w bluzy z nasuniętymi na oczy kapturami popijały piwo. Lubiła tam spacerować, ale nigdy nie zauważyła straży miejskiej czy policji. Pewnie dlatego nastolatki czuły się tam bezpiecznie. Mimo to, nie było to przyjazne miejsce dla mieszkańców parków i nomadów z opuszczonych ogródków działkowych. Nie dawało schronienia na noc, a do tego było oddalone od sklepów i śmietników obfitujących w dobra niedoceniane przez większość przeciętnych mieszkańców.

Pewnego popołudnia Marta weszła do dużego lumpexu, w którym unosiła się woń stęchłej odzieży zmieszana z zapachem płynów do płukania i zapytała sprzedawczynię o ciepłe bluzy z kapturem.

– To dla wnuczka – uprzedziła zdziwienie sprzedawczyni. – Jest mojego wzrostu, ale bluza może być trochę większa, bo zaraz i tak z niej wyrośnie. Niech pani znajdzie coś, co spodoba się nastolatki, bo ja się na tym kompletnie nie znam.

– Tu mamy akurat nową dostawę. Prosto z Anglii, tylko jest dzisiaj drożej, bo ciuchy jeszcze nieprzebrane.

– Nie szkodzi. Nie będę oszczędzała dla wnuczka.

– Ta mu się na pewno spodoba. – Sprzedawczyni podała jej szarą bluzę z dużym napisem GAP na przedzie i na plecach.

– Ma na rękawie dziurkę po papierosie – zauważyła Marta.

– Faktycznie. Opuszczę pani pięć złotych. A chce pani spodnie w tym samym kolorze?

– Sama nie wiem...

– Mam tu prawie identyczne. Nie są z tej samej firmy, ale trudno nawet zauważyć różnicę. Wnuczek na pewno będzie zadowolony.

– Dobrze, tylko najpierw przzymierzę. – Marta udała się w kąt sklepu, gdzie rozwieszono na metalowej rurce zasłonkę, a na ścianie wisiało lustro w różowej plastikowej ramce. Bluza i spodnie były trochę zbyt obszerne, dokładnie tak jak chciała. – Będą na niego pasowały – oświadczyła po wyjściu. – Ile płacę?

Sprzedawczyni odłożyła bluzę i zważyła spodnie:

– Dwadzieścia pięć za bluzę i piętnaście za spodnie. Bluzy sprzedajemy na sztuki, po trzydzieści, ale opuściłam za tę dziurkę.

Marta podała jej odliczone pieniądze, podziękowała i wyszła. Na dworze siąpił jesienny deszcz.

Dwa dni później wyszło słońce i zapowiadał się jeden z tych pięknych słonecznych dni, jakby wykradzionych zapomnianemu już latu. Cały ranek Marta sprzątała mieszkanie. Wymyła nawet okna. Po południu spróbowała zapakować dresy do swojego plecaczka. Nie mieściły się. Wzięła krzesło, ustawiła je przed mieszczącym się w przedpokoju pawlaczem. Weszła nań z pew-

nym trudem i po chwili poszukiwań wydołała z otchłani pawlacza nieco większy, turystyczny plecak. Dresy zmieściły się w nim bez trudu. Z szuflady w kuchni wyciągnęła mały, zamykany woreczek foliowy i otworzyła szafkę, w której stały buteleczki i pudełka z lekarstwami. Z najwyższej półki wyjęła całą zawartość i odłożyła na bok trzy pudełka, które ukryte były przed wzrokiem za frontem stojących pojemników. Pozostałe buteleczki i pudełka ustawiła na powrót na półce. Wyjęła plastikowe blistry z trzech opakowań i jedną po drugiej wycisnęła z nich do woreczka kilkadziesiąt małych tabletek. Wyrzuciła plastik i kartonowe opakowania do kosza na śmieci. Podeszła do lodówki wyciągnęła butelkę białego wina, a z szuflady korkociąg. Po chwili wahania sięgnęła do szafki i zabrała z niej kieliszek do wina zrobiony z grubego szkła. Schowała wszystko do plecaka. Rozejrzała się po mieszkaniu. Wyjęła z kubła worek ze śmieciami, na jego miejsce włożyła nowy. Założyła plecak, chwyciła swoją laskę, worek z odpadami i wyszła z mieszkania zamykając je dokładnie na oba zamki.

Tętno wzrosło do sto sześćdziesiąt. „Trochę za dużo” – pomyślał Lucjan i zwolnił tempo. Biegając, kątem oka dostrzegł siedzącego na ławce ubranego w dres maolata. Głowa i ciało były wygięte w bok, w tej nienaturalnej pozycji, którą pijacy uzyskują tuż przed zwaleniem się na ławkę, a która obserwującemu każe wątpić w uniwersalność prawa ciężenia. Obok niego stała pusta butelka. Lucjan pobiegł dalej. „Nie jestem w pracy” – pomyślał, ale coś nie dawało mu spokoju. Coś nienaturalnego było w obrazie który dostrzegł kątem oka, a który przecież nie raz już widział. Zastanawiał się ciągle biegając, ale nie potrafił zidentyfikować tego czegoś, co go zaniepokoiło. Pomyślał, że to pewnie z przemęczenia. Praca ratownika medycznego nie należała do łatwych a na dodatek powodowała, że w większości neutralnych sytuacji spostrzegał jakieś zagrożenie, którego inni nie widzieli. Takie zawodowe skrzywienie.

Przebiegł kilkadziesiąt metrów próbując sobie wyperswadować swój niepokój, lecz w pewnym momencie po prostu zawrócił, tak, jakby to ciało podjęło za niego decyzję. „Przebiegnę kilometr więcej, to mi nawet dobrze zrobi” – umysł sam szukał usprawiedliwień dla zachowania, na które miał niewielki wpływ. Kiedy zbliżył się do ławki, w mdłym świetle odległej latarni dostrzegł połyskujący na ławce kieliszek. To musiał być ten element obrazka, który nie pasował, który nie dawał mu spokoju. W swoim życiu pozbierał z chodnika, z ulicy, z trawników i z ławek kilkadziesiąt pijaków, ale nie pamiętał, żeby którykolwiek z nich pił z kieliszka. Plastikowy lub papierowy kubek był szczytem elegancji, jeśli rozpijali akurat wódkę.

Odziany w dresy maolat okazał się przebraną staruszką. To odkrycie tak go wytrąciło z równowagi, że początkowo zapomniał co powinien zrobić. Po chwili ręka szybko powędrowała na szyję w poszukiwaniu tętnicy. Szyja była ciepła choć nitka życia, której w niej szukał ledwie dawała się wyczuć. Zrzucił z ławki butelkę i kieliszek, ułożył staruszkę na ławce i sięgnął po telefon. Potem działał już automatycznie. Kiedy światła i sygnał karetki pędzącej po deptaku dla pieszych zmieniły mrok i ciszę wieczoru w scenę sensacyjnego filmu budząc przerażenie nielicznych o tej porze przechodniów, a w nim spokój i ufność, nitka życia pozostawała nadal nieprzerwana.

– Przykro mi – stwierdził lekarz – ale leki trwale uszkodziły lewą półkulę mózgu i wywołały coś, co jest w istocie rozległym udarem. Nastąpiła demielinizacja nerwów mózgowych. Nie przeżyłaby kolejnej godziny, gdyby nie pomoc tego mężczyzny, który ją znalazł, a który szczęśliwie okazał się ratownikiem medycznym, no i zaciekla walka zespołu z OIOM.

– Jakie są rokowania? – spytała Dorota.

– Jest pewna szansa, że z czasem dojdzie do częściowej kompensacji funkcjonalnej mózgu i stan pani mamy ulegnie poprawie, ale w tym wieku... Sama pani rozumie.

– Czy ona coś czuje, rozumie?

– Większa część jej mózgu działa. Działają zmysły i z pewnością odbiera bodźce, ale czy rozumie? Nie mam pojęcia. Nie wiemy na ile wyższe funkcje umysłowe zostały uszkodzone. Wyniki tomografii tego nie pokażą. Z pewnością długo jeszcze nie będzie w stanie ani mówić, ani przeżywać.

– Kiedy będzie mogła wrócić do domu?

– Nie wcześniej niż za dwa, trzy miesiące.

Stan pozostałych narządów jest dobry jak na jej wiek, ale wolałbym poczekać aż powróci u niej odruch przełykania, bo do czasu aż to nastąpi będziemy musieli karmić ja przez zgłębnik nosowy płynnym pokarmem. Można to robić również w domu, ale jest to dość uciążliwe i stan pacjenta może się pogorszyć przez niedożywienie.

– Jaki rodzaj opieki będę musiała jej zapewnić?

– Cóż, ktoś powinien być przy niej w pobliżu praktycznie przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Przez najbliższe miesiące nie będzie w stanie usiąść na wózku inwalidzkim. Będzie wymagała karmienia, przewijania, mycia. Kiedy jej stan się poprawi niezbędny będzie rehabilitant, który powinien poświęcać jej czas w zasadzie codziennie. Proszę już przygotować się na jej powrót, bo później wiele rzeczy może panią zaskakiwać. Najlepiej byłoby, gdyby porozmawiała pani z siostrą oddziałową, która u nas nadzoruje pracę nad pacjentami w podobnym stanie.

Dorota nie skarżyła się. Pamiętała oddanie, z jakim matka opiekowała się babcią. Nigdy nie usłyszała z jej ust skargi, choć ostatnie lata przed śmiercią zamieniły jej życie w koszmar. „Teraz moja kolej” – pomyślała Dorota lekko, choć z trwogą, z jaką pacjent dobrowolnie siada na fotelu dentystycznym szykując się na nieunikniony ból. Nie mogła tylko zrozumieć, dlaczego matka to zrobiła. Nie przypomniała sobie ani jednego momentu w całym swoim życiu, żeby choć raz napomknęła o samobójstwie. Nigdy nie miewała nastrojów depresyjnych. I to dziwne przebranie, ten alkohol i wybór miejsca... To wszystko stanowiło tak ogromny dysonans, że przez pierwsze miesiące nękała policję podejrzewając próbę morderstwa. Ale śledztwo nic nie wykazało. Lekarz przepisywał matce środki nasenne od pewnego czasu. Choć nie znaleziono nigdzie opakowań po nich, to przecież wystarczająco długo realizowała recepty, żeby łączyć wystarczającą ich ilość aby wysłać na tamten świat nawet kilka osób. Na butelce, na kieliszku i na wszystkich innych przedmiotach, które miała przy sobie, a z których można było zdjąć odciski palców, znaleziono tylko jej linie papilarne. Nie miała żadnych wrogów. Nie było żadnego śladu, którym policja mogłaby podążyć, więc umorzyli śledztwo. ♦